№ 35. Warszawa, dnia 20 Sierpnia (1 Września) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z KRAJOBRAZÓW PODZWROTNIKOWYCH,

WEDŁUG

LUCYANA BIART'A.

Spolszczyła

WŁ. Z R. J.

(Dokończenie.)

Kawałki mięsa nareszcie w jaki taki sposób przyrządzonemi zostały, a zęby nasze mają nielada pracę przy spożyciu posiłku tego, który nam niezrównanie smacznym się wydaje. Zachowujemy dwa pęki kukurydzy na jutrzejsze śniadanie i podczas, gdy towarzysz mój układa na noc ognisko, ja siadam patrząc w jezioro. Ciągnie się ono wązkim pasem, długość jego dochodzi czterech kilometrów.

W chwili tej straciło nieco swą powierzchowność ponurą, gdyż część nieba, jaką odbijają wody, powlokła się barwą czerwoną zachodzącego słońca. Jest to odbicie zkąd'ś po za puszczą, tam, po za Sawannami, ostatnich blasków słońca kryjącego się po za Kordyljery.

Woda jeziora nie błyszczy jednak, nie iskrzy pod barwą jego. Wzrok mój widzi przed sobą jakoby płytę żelazną, doprowadzoną do tego stopnia rozgrzania, jaki metallurgiści nazywają „ciemnym żelazem", złudzenie pod tym względem jest zupełne. Po dziesięciu minutach wyszedłem wreszcie z tego przedhistorycznego świata.

Sępy przelatują nade mną, za niemi sokół i para szczebiocących papug. Zaledwie zniknęły ściemniło się zupełnie. Jezioro stało się czarnem, palmy zmieszały się razem, rzekłbyś iż zasłona zasiana świetlanemi punktami zapadła nagle za pomocą ukrytego jakiegoś mechanizmu od wschodu ku zachodowi.

Nastała noc zupełna; zbliżyłem się do szałasu, pod dachem którego Indyanin mój leżał już uśpiony.

Dorosłe to dziecko tak jak niemowlę spoczynek ten obezwładniał odrazu. Nie będąc tyle szczęśliwym, siadłem pogrążony w dumaniu, a patrząc w gwiazdy iskrzące, z myślą o biednej zabłąkanej Indyance, prędzej niźlim się spodziewał zasnąłem.

Przebudzony nagle, czuję twarz i ręce jak w ogniu, nie mogłem skutkiem nerwowego rozdrażnienia zasnąć tak twardo jak to czynią Indyanie, zrzuciwszy nakrycie odsłoniłem ręce i mustiki pokryły je swemi zatrutemi ukłuciami. Podnoszę się, siadam przy ognisku, pragnąc dymem zasłonić się przeciw mym nieprzyjaciołom.

Spojrzałem ku wyjściu... światło!

Byłżeby to już ukazujący się blask dzienny?

Nie! to księżyc wschodzący błyszczy po za mną, który wkrótce fantastycznem swem światłem oblewa całe jezioro.

Rano dnia tegoż, siedząc nad rzeką Salado, widziałem przed sobą krajobraz pierwotnego świata i wierzyłem na chwilę, iż jestem jednym z współczesnych Ichtiosaurom. Otóż powtórnie widzę się przeniesionym w przeszłość, o kilka milionów lat wstecz.

Część jeziora oświetlona srebrzystym światłem księżyca lśni blaskiem fosforycznym, paruje i odcina się od czarnego kwadratu reszty wód, na które palmy rzucają ciemną barwę.

Najgłębsza cisza panuje wokoło. Zapatrzony w wody jeziora w miejscu gdzie stoi uwiązana piroga, spostrzegam siedmiu kajmanów, wszystkie zapatrzone są w blask ogniska błyszczącego z mej chaty, ku której płyną, łączą się, krzyżują, znikają i znów się ukazują z chytremi ruchami jaszczurek.

Chąc ich podrażnić nieco, rzucam na ogień kilka gałęzi.

Zapatrzone weń, zbliżają się ku brzegowi.

Pragnąc wziąć strzelbę w kącie stojącą wstaję i podchodzę w tę stronę, gdy nagle z lewej strony szałasu, pod cieniem palmy spostrzegam dwa punkty świetnie błyszczące.

Byłżeby to znów odblask księżyca? Ależ w tej stronie niepodobna? Byłyżby to owady świecące?

Ah! zgaduję wreszcie. Dwa te błyszczące punkty, które śledzą każdy mój ruch i zwracają się

za nim, są to oczy czarnego tygrysa, o jakim wspominał jeden z mieszkańców Akula, oczy pantery z regjonów północnej Ameryki, Felis melasa z Sawannów.

Zwierz ten rzadkim jest gościem w puszczach Meksykańskich, sposobności przeto ku ubiciu go zaniedbywać nie należy. Jakiż wspaniały podarek, byłby zeń dla którego z przyjaciół mych w Europie. Jakiż okaz ślicznej zeń skóry.

Uwiedziony zarówno jak kajmany blaskiem ogniska płonącego w szałasie, zwierzę to zwolna wysuwa się z cienia i podchodzi. Ja z mej strony umieszczam się w chacie tak, aby go widzieć najdokładniej, studyowanie bowiem ruchów zwierzęcych było zawsze najulubieńszym mojem zajęciem, w czasie podróży po pustyniach. Jest-że ów czarny tygrys bratem albo krewniakiem Peruwiańskiego? posiada bowiem wszystkie zewnętrzne cechy kota.

Ten, którego mam przed oczami, stanął wspaniale wyprostowany, a bijąc silnie ogonem, wsparty na przednich łapach, posuwa się w stronę szałasu.

Czy skoczyć chce? Nie! rozciąga się jak długi przed chatą, kładzie głowę na przednich łapach i poziewa. Wpatrzony w dogasające ognisko zdaje się nad czemś dumać głęboko, nie spuszczając mnie z oka i co chwila na najmniejszy ruch mój zwracając wzrok swój w tę stronę. Postępuję kilka kroków ku niemu, uszy jego odkładają się w tył, wydłuża szyję i paszczę otwiera.

Po dwa razy odpowiada jednako na moje wyzwanie, w końcu uważam za potrzebne zaprzestać tych żartów z nim, zbyt może dla mnie niebezpiecznych.

Trzeba z nim skończyć jednakże, gdyż chęć studyowania jego obyczajów, mogłaby niekorzystnie wypaść na mą stronę.

Nie będąc zbyt celnym strzelcem, niechciałbym raniąc zwierzę uszkodzić jego skóry, którą w całości otrzymać pragnę. Nie spieszę się jednak z zadaniem mu ciosu, widząc zadowolenie z jakiem ofiara moja grzeje się przy ognisku, mam czas do wybrania stosownej dla strzału chwili. Nagle wzdrygnąłem się... strzał przebiegł tuż po nad mą głową. Przewodnik mój Indyanin obudziwszy się podczas mych studyów, spostrzegł gościa naszego.

Zdziwiony mą bezczynnością w obec zdobyczy, której skóra przedstawiała wartość co najmniej kilkunastu piastrów, zrobił to co ja miałem uczynić.

Stara to bajka a zawsze prawdziwa, o żółwiu, który wyścignął zająca. Nie ochłonąwszy z wstrząśnienia jakie mi sprawił niespodziewany wystrzał mego towarzysza doświadczam nowej niespokojności. Czy zwierzę celnie dosięgnionem zostało? Wątpię, bo schroniło się nagle pod drzewa. Krokodyle zarówno uciekły kryjąc się w wodę. Indyanin mój chce iść za poszukiwaniem tygrysa, nie dozwalam mu tego uczynić.

Zwierzę zostało może tylko draśniętem, a wtedy najbardziej obawiać się trzeba szponów jego.

Księżyc schował się zupełnie i otóż pogrążeni jesteśmy w głębokiej ciemności, jaką przebija jedynie czerwonawy płomyk naszego ogniska. Towarzysz mój jest pewnym, że dosięgnął panterę, pewien jest, że ją znajdzie ubitą, skoro tylko rozednieje, w pobliżu naszego szałasu.

Opowiada mi, że to już drugie trofeum tego rodzaju, jakie zdobyć mu się zdarzyło, że skórę tamtego sprzedał za ośm piastrów, lecz że tym razem będzie żądał więcej. Słucham tego z niejakim rozdrażnieniem.

Skóra ta, ktorą on rozporządza, zdaje mi się, że do mnie należy zarówno, a odebrał mi ją przez swój pośpiech jedynie. Uspokoiwszy się nieco, proponuję mu jej nabycie. Przybijamy targu, on żąda piętnaście, potem dwanaście, w końcu ugodziliśmy się na dziesięć piastrów. Przystał na to mówiąc: „że jedynie dla mnie tylko to czyni."

Twierdzenie to tak zwykłe u kupców europejskich zdziwiło mnie w ustach Indyanina. Po przybiciu targu, rozśmiałem się szczerze, wspomniawszy, żem kupił skórę tygrysa, który być może biega jeszcze żywy, towarzysz mój jednak, któremu objaśniłem przyczynę mej wesołości, nie podzielał jej wcale.

W każdym razie wzbudziłem powątpienie w jego umyśle, a wyraz jego twarzy przypomniał mi mleczarkę z bajki Lafontain'a, przy stłuczonym dzbanku.

Zafrasowany niepewnością posiadania łupu, Indyanin nie myślał już o śnie bynajmniej, a tym więcej o rozmowie. Dziesięć piastrów stanowiły dlań fortunę.

Siedliśmy oba przed ogniskiem w milczeniu.

Ja z nogami pod siebie skrzyżowanemi, przerzucałem węgle gałęzią; on, z głową wspartą na kolanach siedział aż do wschodu słońca nieruchomie, w pozycyi w jakiej nie zdołałbym wytrzymać nawet dziesięciu minut.

Wreszcie z pierwszym dnia brzaskiem zerwał się szybko a wybiegłszy z szałasu wydał okrzyk tryumfu.

Tygrys leżał martwy na piasku, o kilka kroków od drzewa do którego dojść nie zdołał, strzał przeszył mu serce.

Bezzwłocznie szczęśliwy łowiec zajął się zdejmowaniem skóry ze zwierzęcia, w której to wstrętnej dla mnie czynności zostawiłem mu wszelką swobodę.

Niezadługo w górze ukazały się sępy szybujące stadem, za niemi kilku ptaków drapieżnych i gromada papug.

Na lewym brzegu jeziora, ukazał się krokodyl.

Opłynąwszy wokoło palmy rosnące nad wodą, zakreślił półkole i zatrzymał się na powierzchni.

Jeden, dwóch, trzech, potem dwudziestu, trzydziestu podobnych pierwszemu potworów, wykonywało matematycznie tenże sam manewr, aż w końcu przestałem rachować tę obrzydłą armię, której oddech zatruwał powietrze. Niektóre z nich podpływały ku nam, zwabione wonią zwierzyny, rozbieranej przez Indyanina. Nie same one jednakże tylko uczestniczyć miały w tej uczcie, stado sępów zwolna spuszcza się ku ziemi; krążą, biją skrzydłami, a zatrzymawszy się na piasku, stawają w pewnej odległości.

Trwożliwość ich jednak wkrótce przemija; okrążają Indyanina, który na ich obecność nie zważa wcale.

Jeden z krokodyli wciska się między krwiożerczą, ptaszą gromadę, jaka szeleszcząc skrzydłami stara się odegnać intruza. Daremnie jednak, odsuwać się nie pozwala i otworzywszy swą paszczę, pierwszy żarłocznie ucztę rozpoczyna.

Przewodnik mój ukończył wreszcie robotę, skórę zdjętą z tygrysa, nakrytą palmowemi liśćmi ułożył na dachu szałasu i zabieramy się do śniadania. Sępy zarówno, powydłużawszy nagie swe szyje cisną się około łupu, w czem kajman towarzyszyć im nie przestaje.

Grożą mu, powietrze świszcze pod uderzeniami ich skrzydeł, on nie uważając na nie, porywa łup skrwawiony i wlecze go ku wodzie, jak rak w tył się cofając.

Sępy rozgniewane, krążą wokoło zdobyczy, ostremi swemi dziobami szarpiąc ją w kawały.

Nie uderzają jednak na uciekającego napastnika, pochodziż li to z chciwości ich, żarłoctwa, lub wiedzą li one, że rywal ich jest silnie opancerzonym?

On tymczasem dosięgnąwszy jeziora, po nad brzegiem którego niezliczona liczba towarzyszów go oczekuje, wraz z nimi znika pod wodą.

Biegnę do czółna, przewodnik mój zatrzymuje mnie.

— Krwawa potyczka być może — rzecze — wre między niemi na spodzie jeziora, która zakończyć się może na powierzchni wody, a chwiejne czółno mogące się wywrócić za lada potrąceniem, nie dotrzymałoby placu sprzeczce.

Idę za radą jego, zostaję; czego jednakże wkrótce żałuję, gdyż jakikolwiek bądź dramat tam się rozgrywał, woda została spokojną zupełnie, a przy jej szklistej przezroczystości mógłbym był obserwować widok rzadki, ciekawy, pouczający.

Tymczasem zadawalniam się obserwowaniem sępów, które po nakarmieniu się odlatują zwolna.

Indyanin zarzuciwszy sprzedaną mi skórę na ramiona gwiżdże, aby zwrócić moją uwagę. Rzucam ostatnie spojrzenie na krajobraz smutnie rozciągający się przedemną i udaję się w drogę za mym przewodnikiem, odganiając gałęzią mustiki, które rojami brzęczą wokoło niego. Nadchodzi południe. Powietrze poczyna być niemiłem, ciężkiem, duszącem, jak dnia poprzedniego; idziemy przez puszczę w pół zmroku, ścieżką przebywaną wczoraj z Indyanami z Akula. Przybywamy na nizinę, którą Salado podczas wylewu w bagno zamienia.

Kłęby gorącej wilgoci napojone zarazą febry, wychodzą z ziemi rozmiękłej, mokrej, na której wyciskają się stopy nasze.

Nagle spostrzegam tu ślad dwóch nóg obutych w sandały, nóg drobnych, kobiecych, a po za niemi szeroki znak szponów tygrysa. Przewodnik łączy się ze mną i zatrzymuje zrzuciwszy swój ciężar.

Pochylamy się oba rozpatrując w śladach dojrzanych i całe zdarzenie z biedną zabłąkaną Indyanką staje nam jasno przed oczami. Przechodząc tędy spotkała się z tygrysem i w ucieczce przed nim zmyliła drogę, zwierzę ścigało ją w pewnej odległości.

Przestraszone dziewczę rzuciwszy się w puszczę zgubiło ścieżkę, a z nią i wszelką drogi wskazówkę.

Odgadujemy teraz wszystko niestety! Tygrys zaprzestał dalszej pogoni, młoda indyanka z przestrachu jednak wciąż uciekała. Nieszczęsna! przez te długie godziny ileż zakrętów czynić musiała, ile kół błędnych, jakie ostatecznie sprowadziły katastrofę jej zgonu.

Będąc tak blizko jeziora, jakie zapewne dobrze znała, gdyby je była spostrzegła, stałoby się dla niej ocaleniem.

Rozpoczynamy nasz pochód dalej. Towarzysz mój radosny, w dobrym humorze z ubicia tygrysa a nadewszystko z korzystnego sprzedania skóry, ja smutny, zgnębiony smutnem wspomnieniem.

Po dwóch godzinach, stajemy olśnieni na lewym brzegu Motylej rzeki. Bogata wegetacya tropikalna rozwija się przed nami w całej wspaniałości, a piękny brzeg rzeki, jaka kiedyś w historyi Meksyku ważną odegra rolę, rozlewa się przed nami pełno, głęboko, majestatycznie, niosąc ku morzu

tysiące szczątków zabranych lasom jakie przebiega.

W miejscu na którem stanęliśmy ukazuje się nam ona w całej wspaniałości, obwita wieńcami ljanów, z tysiącami gniazd ptasich, które wiszą na ich gałęziach, kąpiących się w wodzie jak dziwne nieznane owoce ze stuletniemi cedrami zaludnionemi przez krzykliwe małpy i papugi.

Na widok ptaków o złotem błękitnem i purpurowem upierzeniu, które latają wkoło mnie, napełniając powietrze swym harmonijnym szczebiotem, umysł mój zwolna się rozwesela. Zdaje mi się, patrząc na skrzydła wielkich, barwnych motyli, słysząc szelest lskniących owadów, widząc migające tysiącami blasków kolibry i wszędzie wokoło rozsiane czarowne cuda natury, zdaje się, że życie tu jest jedną uroczystością weselną, jednym upojeniem i że wieki upłynęły od chwili, gdy opuściłem brzeg smutnej rzeki Salado.

W rzeczy samej, wydaje mi się żem odbył podróż na jakąś obcą planetę i zaledwie sam siebie przekonać zdołam, że dwu godzinna droga zaprowadziła mnie z Edenu, pełnego światła barw i harmonii w jakim się znajduję obecnie, do ponurego regjonu palm ciemnych, wód czarnych, potwornych pełzających gadów, jednym słowem do żałobnego punktu tego, gdzie widzę bezustannie młodą, nieszczęsną Indyankę, która dziwnym losu zrządzeniem umarła, zanim kwiat, jakim ozdobiła swe czoło, uwiędnąć i woń stracić zdołał.

KONIEC.

JESIEŃ.

Sonet.

Głucho w gaju. Na wiosnę było tu inaczej:
Śpiew ptastwa brzmiał rozkosznym miłości szczebiotem,
A słońce, spoglądając na świat okiem złotem,
Zdawało się, że same dni szczęścia obaczy.

Dziś, jesień przyciągnęła chmury ołowiane,
Mgła gęsta zimnym płaszczem ziemię przyodziewa,
I liści pozbawione, stoją nagie drzewa,
Ostrym wichrem północy, obdarte smagane.

Tak, gdy pierzchną promienne młodych lat rojenia,
Wokoło nas bezbarwna czczość się rozprzestrzenia
I szyderczo urąga znikłej życia wiośnie:

Wszystko wtedy posępne, szare, martwiejące,
Ni to liścia na drzewie, ni kwiatu na łące,
Radość spiesznie ucieka, smutek w sercu rośnie!

M. H. Truszkowski.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Przypomniała mi się rozmowa ciotki Wandy z Horcią o wychowaniu światowem. Rzeczywiście, córka nie zawiodła oczekiwań matki. Ta świetna, woniejąca panna, nie była już podobną w niczem do tej, która niedawno tuliła się pokornie u stóp Madonny Murilla.

Żaden muskuł jej twarzy nie drgnął teraz, żadne najbystrzejsze oko, nie mogłoby poznać co się dzieje w głębi duszy. Ciotka kładła główny nacisk na potrzebę panowania nad sobą, a Horcia spełniała też to po mistrzowsku. Co do mnie byłabym wolała zamiast tego spokoju, pewności siebie, widzieć ją stroskaną, niespokojną, lękliwą. Chcąc jednak także zapanować nad sobą, nie zdradzić kiełkującego już we mnie uczucia zawiści, rzekłam:

— Szalenie niebezpieczną jesteś dziś Horciu.

— Dzieciaku, cóż ty możesz wiedzieć o prawdziwych niebezpieczeństwach, ty, sam poranek wiosny, uosobienie niewinności i naiwności. Dla ciebie cały świat obrzucony jeszcze zasłonami barwy różowej, złudzenie, to forma, w jakiej życie przedstawia ci się najponętniej. Ty nie rozumiesz, co to znaczy poddawać się czarowi, który może prysnąć nagle wtenczas właśnie, kiedy z wyciągniętemi ramionami drży się z pragnienia, aby pochwycić to, co za chwilę może zniknąć na zawsze. Ty nie wiesz, jakie niebezpieczeństwo grozi ludziom, w życiu których jedna chwila burzy niekiedy wszystko, co było przez nich wypieszczone najlepszemi zamiarami, ukochane każdem tchnieniem, wszystkiem, cokolwiek stanowiło ozdobę istnienia.

Szare źrenice mówiącej zamgliły się lekko. Westchnienie poruszyło kosztowne koronki na piersiach.

— Na cóż ja ci to wszystko mówię? Lżej mi przecież po takiem wynurzeniu. Tam, na dole, niewolno pomyśléć nawet o czemś podobnem. Wiesz, kuzynko — ciągnęła po chwilowem milczeniu Hortensya, oglądając szczegóły mej tualety — brakuje ci na głowie wianeczka z niezapominajek. Błękitny kolor wybornie odpowiada białemu. Mogłabyś użyć w tym celu kwiatków z cieplarni.

Jakże mnie zawstydziła dobroć Horci. Ona się nie domyśla wartości kuzynki, której okazuje swe względy.

— Nie wiem... zobaczę... — szepnęłam poprawiając różowej opaski na włosach.

Przeszedłszy zapełnione przedpokoje, przy wejściu do pierwszego salonu spotkałyśmy pana Witalisa w gronie młodych ludzi. Wszyscy oni obrzucili najpierw moją towarzyszkę spojrzeniem pełnem uwielbienia. Kobiety otoczyły ją ścisłem kołem, wstrząsając jednym jej paluszkiem, podanym z gracyą. Witalis witał się ze mną, a zawisł oczami na tamtej przewyższającej wzrostem całe zgromadzenie. Mimowoli pewnie przytrzymał mą dłoń dłużej niżby należało. Natychmiast jednak zaczął mnie zapewniać o niewiadomej przyczynie swego roztargnienia.

— Mogłabym panu sama wskazać źródło owego roztargnienia — rzekłam bez namysły prawie.

— Pani? — zagadnął rozciekawiony.

— O! panie Witalisie, cóżem winna, że niekiedy słyszę i widzę nadspodziewanie. — Kończyłam zapominając jakoś o niewłaściwości podobnego wykrzyknika.

— Czyżby te modre oczki czytały tak dokładnie w duszach innych?

— Czyż żółte róże kuzynki Horci nie ściągają na siebie wzroku wszystkich? — odparłam wymijająco. — Może właśnie łodyga ich kwiatu wypisała wielkiemi zgłoskami... roztargnienie?

— Odkrywam znów w pani nową zaletę, zręczny dowcip, ale dłużną mi jest jeszcze pani w odpowiedzi na poprzednie pytanie o jej oczach.

— W żadnym razie nie mogą one nikogo, szczególniej zaś pana zajmować — z lekkiem wstrząśnieniem głowy odpowiedziałam.

— Czy niegodny jestem uosobistniać księgę, w jakiej kartach mogłaby pani czytać dowolnie?

— Nie ma tam słów dla mnie — rzekłam więcej do siebie niż do niego.

— Dlaczego?

— Wybrani tylko mogą odczytywać w niej strofy, zapisane złotemi literami, a być wybranym, znaczy być szczęśliwym — szepnęłam w roztargnieniu.

— Więc być celem mego upodobania, może zwać się szczęściem? O! panno Anno, to zbytek przyjaźni ze strony pani.

— Prawdopodobnie, nadmiar ten wywołuje niezadowolenie pana — rzekłam półgłosem, chcąc uczynić niedosłyszalnem drżenie głosu.

— Podobało się pani wybrać mnie dzisiaj za cel swych żartów; poddaję się memu przeznaczeniu.

— Panie Witalisie, w każdym żarcie...

Nagle rozmowa stała się niemożebną. Przybyli artyści zajęli swoje miejsca i koncert miał się natychmiast rozpocząć.

— Panie Witalisie, bądź pan łaskaw podać ramię Anusi i zabrać miejsce, jakie ona zechce. Polecam, panu, opiekę nad nią w tym tłumie. Jestto zebranie publiczne, każda niemal dama jest prowadzona przez mężczyznę.

Ze spuszczonemi oczami mówiła, stojąc przed nami Hortensya. Domyśliłam się zaraz pewnego manewru z jej strony. Czyniła to umyślnie dla zadowolenia matki i odwrócenia podejrzeń publiczności. Gdyby Hortensyę i Witalisa, znanych już, jako inicyatorów koncertu, ujrzano publicznie rękę w rękę, już nazajutrz w niejednym z domów, znajome i przyjaciółki opowiadałyby sobie o planach na zaręczyny.

Po wysłuchaniu propozycyi, Witalis wlepił uparcie wzrok w twarz Hortencyi, jakby chcąc zmusić ją do podniesienia oczu. Prawdą jest, co mówią o magnetyzmie wzroku. Pod wpływem tej siły, towarzysz mój otrzymał spojrzenie tak łagodne, miłe, jakiego przedtem nigdy nie widziałam u mej kuzynki. Przez chwilę tonęli w sobie oczami.

— A pani — zmienionym dziwnie głosem zapytał Hortensyi — z kim pójdziesz?

— Nie chcę nikogo — brzmiała spokojna odpowiedź.

Chwilowe rozrzewnienie, jakby gwałtem odpędzone znikło. Udany, czy też szczery chłód zajął jego miejsce.

W drodze do upatrzonego miejsca, pochyliłam się nad wazonem pełnym niezapominajek. Z kilkunastu zerwanych, parę upadło nieopodal i te podniósł Witalis.

— Czy lubi, pan, te kwiatki — zagadnęłam płonąc cała.

— Lubię wszystko, cokolwiek jest takiem drobnem, przyjemnem jak te niezapominajki. Podobne twory natury domagają się same przez się sympatyi.

— A chińskie róże? — zagadnęłam znów.

Gorąca łuna szkarłatu przebiegła po licu zapytanego.

— Jeżeli chociaż cokolwiek zależy pani na wiadomości o mej sympatyi w tym razie, to dowiedz się, panno Anno, że w ogólności nie lubię chińszczyzny, ale naturalnie mogą być wyjątki w tym razie.

Trudno mi już było nie rozumiéć tych wszystkich aluzyi, tyczących się Hortensyi, a jednak, nie przestawałam jeszcze łudzić się, że będę mogła pociągnąć go ku sobie.

— Panie Witalisie, na pamiątkę dzisiejszego koncertu, zachowaj sobie te niezapominajki... Już drugi z kolei przedmiot otrzymuje pan z moich rąk. Kiedyś... kiedyś... może przywiodę na pamięć...

Dalej nie mogłam mówić. Usta mi zadrżały, czułam pod powieką łzy palące jak ołów.

— Panno Anno — przemówił przyjaznym tonem Witalis — spodziewam się spędzić z panią niejedną jeszcze przyjemną chwilę, a tymczasem dziękuję za dar niezasłużony i służę pani.

Zawieszona na ramieniu mężczyzny najpiękniejszego dla mnie z najpiękniejszych, szłam jak w śnie uroczym. Była to jedna z tych złotych chwil, jakich nie zapomina się nigdy; jedno z tych światełek, jakie później rozświetlają wspomnieniem chmurną niekiedy drogę życia. Była to srebrna, błyszcząca dziwnie nitka, jedna, jedyna może w całem ciemnem pasmie dni następnych. Takich nitek mamy niewiele w życiu, ale stanowią one za to jego pełnią, jego najpyszniejszy rozkwit.

Koncert się rozpoczął. O ileż piękniejsze były zaimprowizowane cieplarnie od sztywnych, zwykłych sal koncertowych. Potoki światła rozlewały przestrzenie gęsto usiane kwiatami. Na krzesłach niesymetrycznie porozstawianych w lesie zieleni, publiczność doznawała podwójnej rozkoszy. Oczy tonęły w rozlicznych barwach kwiatów, a cudny śpiew pierwszej artystki europejskiej unosił zachwytem. Hortensya urządziła wszystko doskonale. Zebrani goście zdawali się być na jakiejś przechadzce, wśród woni najpiękniejszych klombów, wśród olśniewającej światłości i rysujących się gdzieniegdzie pół cieni, w gęstych kępach roślin. Muzyka, była tu niby wieszczką przypadkowo zbłąkaną, darzącą w tej chwili błogiem upojeniem.

Całość składała się na obraz, zdolny zadowolnić najwybredniejszy gust estetyczny.

Uczucia ludzkie i muzyka, są to dwie struny, które za dotknięciem drgającej życiem, umiejętnej dłoni, wydają dźwięki najcudniejsze na świecie całym. „Cudowną bywa muzyka, gdy serce takt wybija" powiedział jeden z mądrych ludzi, którego nazwiska nie pamiętam w tej chwili, a powiedział prawdę głęboką. W muzyce człowieka czyta się jego historyę. Nigdy nie gramy i nie słuchamy chętniej muzyki, jak wtenczas, gdy jesteśmy smutni, rozmarzeni lub roznamiętnieni. Ma ona szczególny dar pobudzenia z odrętwień, coś, niby uderzenie zmuszające członki do sprężystości. Dlatego też żadne obchody wszelkich uroczystości, żadna ważna chwila w życiu nie obywa się bez niej. Ona koi cierpienia, rzuca żar w żyły, unosi dusze na skrzydłach nieokreślonej rozkoszy. Żałuję ludzi mówiących o sobie, że nie lubią muzyki. Znaczy to, że pojęcie ich nie jest dostępne ocenienia piękna w najwytworniejszej ich formie. W muzyce można tęsknić, kochać, pożądać i pieścić. Czego usta nie chcą, lub nie mogą wymówić, to można wyrazić w tonach. Jakie serdeczne wyznania, jakie szalone namiętności, wylewają się z instrumentu, do którego przepłynęła porywająca ogniem pieśń duszy grającego.

Nie pamiętam milszego nad ów wieczór koncertowy.

W czasie pierwszego antraktu znalazła się przy mnie baronowa.

— Anusiu! w gabineciku za ostatnim salonem czeka na ciebie oddawna znajomy, przysłany przez mamę. Jakiś pan Sokolski. Nie chciałam odwoływać cię prędzej, lecz ostatecznie nie można dłużej wystawiać go na znudzenie. Cóż to? Minka twoja nie okazuje wielkiego zadowolenia.

— To moja antypatya, ten Sokoł, ciociu.

W kilka sekund stanęłam twarz w twarz z brunatnym Sokołem. Właśnie muzyka ozwała się hucznym walcem.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Z historyi rozwodów historycznych.

Z powodu rozwodu króla Milana z małżonką jego Natalią, badacze historyczni wyszperali w dalekiej przeszłości, dosyć wypadków podobnego rodzaju, z ktorych kilka godnych jest wspomnienia.

Historya pożycia małżeńskiego Henryka VIII, krwią pisana, znaną jest całemu światu; któż nie wie, że miał on aż sześć żon. Z dwiema pierwszemi Katarzyną Aragońską i Anną z Cleves, (król nazywał ją „klaczą z Flandryi") kazał się rozwieść, dwie inne, Annę Boleyn i Katarzynę Howard, po wyrzeczeniu rozwodu, oddał pod topór katowski. Joanna Seymour zmarła wskutek choroby, a tylko łzy szóstej żony, Katarzyny Parr, towarzyszyły mu do grobu. Pierwszy rozwód Henryka VIII stał się powodem ważnych zmian w historyi kościoła i narodów, kiedy bowiem Papież Klemens VI nie chciał mu pozwolić na rozwód z Katarzyną Aragońską, Henryk VIII, który poprzednio otrzymał przydomek „defensor fidei", jakiego nikt przed nim nie posiadł, stał się twórcą odszczepieńczego kościoła anglikańskiego.

Wiek XVIII był znów świadkiem sensacyjnego rozwodu koronowanych małżonków. Tym razem odbył się on na dworze duńskim, a epilog jego był nader tragicznym, wszystkie bowiem osoby, które brały w nim udział, skończyły w więzieniu, w zakładzie dla obłąkanych, albo na rusztowaniu. Szlachetną królowę Maryę, córkę Jerzego III, króla angielskiego, matka mężowska oskarżyła o wiarołomstwo. Słaby król Chrystyan IV uwierzył matce, obwiniającej żonę jego o karygodne stosunki z ministrem, ulubieńcem królewskim Strnensee, i piękną, 21 lat zaledwie liczącą żonę zamknął w więzieniu a ministra na śmierć skazał. Królowa skończyła życie w celi więziennej, zaś nieszczęśliwy król Chrystyan, który przez całe życie swoje był manekinem w ręku matki i jej powierników, prześladowany wyrzutami sumienia, zmarł okrzyczany za waryata.

Ale i historya wieku XIX nie jest wolną od rozwodów, a było ich dwa: jeden w Paryżu, drugi w Londynie. W pierwszym wypadku rozwiódł się Napoleon I z piękną Józefiną Malmaison; w drugim król Jerzy IV z Charlottą. Powody do tych dwu rozwodów były sobie wręcz przeciwne, tak odmienne, jak stosunek, jaki istniał z jednej strony pomiędzy Napoleonem a Józefiną, a Jerzym IV i Karoliną z drugiej. Tak samo odmiennem było zachowanie się obu monarchów w chwili rozwodu Napoleon okazał delikatność i względy dla dotkniętej żony; Jerzy zaś niesłychaną, a nawet oburzającą brutalność!

Kiedy w dniu 16 Grudnia 1809 roku, Józefina dobrowolnie tron mężowski opuszczała, Napoleon płakał, szczerze czy obłudnie, to wszystko jedno, dość, że płakał. Mimo rozwodu Józefina zachowała miłość dla męża i cieszyła się nawet w owym dniu, kiedy jej rywalka obdarzyła Napoleona synem. Co więcej, prosiła o pozwolenie uściskania tego syna w Rzymie i szczęśliwą była, kiedy w twarzy dziecka rysy małżonka dostrzegła. Tak samo i Napoleon w chwili swego niepowodzenia i upadku, wspominał o biednej upokorzonej i opuszczonej małżonce. Wieczorem po bitwie pod Brienne pisze do niej: „Największym dobroczyńcą moim byłaby teraz śmierć, ale unikam jej, bo chcę widzieć ciebie, ukochana, choćby raz jeszcze." Kiedy Napoleon wygnany został na wyspę Elbę, Józefina uczyniła krok, na który nie zdobyłaby się zapewne żadna inna kobieta. Oto prosiła cesarza Franciszka I, aby drugiej żonie Napoleona I pozwolono zająć przynależne jej przy mężu miejsce. Prośbie tej odmówiono; a wówczas odsunięta przez Napoleona Józefina, prosiła, aby pozwolono jej dzielić wygnańcze losy cesarza Francuzów. I tej prośby nie wysłuchano, a w dwa dni później Józefina już nie żyła.

Jakże inaczej przedstawia się nam historya rozwodu Jerzego IV, który sam nazywał się „pierwszym gentlemanem angielskim", a od lorda Byrona i innych poddanych odmienny przydomek otrzymał. W dniu zaślubin, jak to w czasie procesu rozwodowego królowa sama wobec parlamentu zeznała, upił się tak, że aż przytomność stracił. Królowa, angielscy mężowie stanu i historycy, nazywali go hańbą Anglii. W dniu 20 Sierpnia 1820 roku rozpoczął się w parlamencie brudny proces rozwodowy. W wielkiej, wybitej zielonym aksamitem tece wniesiono do sali akta, na których mocy, oskarżyciel, król Jerzy IV, chciał udowodnić wiarołomstwo żony swej, popełnione z kamerdynerem Bartolomeo Pergami. Chciał dalej udowodnić, że królowa już dawniej utrzymywała miłosne stosunki z kapitanem okrętu, Mamby, następnie z admirałem Sidney Smith. Królowej bronił słynny mówca, lord Brougham, a obronę swą oparł na starej zasadzie angielskiej, że mąż, który sam nie jest bez winy, nie ma prawa do oskarżania żony o wiarołomstwo. Obrona ta odniosła skutek niespodziewany. Przyciśnięci przez lorda Brougham do muru świadkowie, musieli przyznać, że kłamali, wskutek czego parlament rozwodu odmówił. Dramat małżeński skończył się dopiero w rok później. W dniu 19 Lipca 1821 roku, Jerzy IV koronował się, kiedy jednak królowa Karolina wchodziła do katedry, aby wziąć udział w tej ceremonii przy boku męża, gwardya przyboczna króla, na tegoż oso-

bisty rozkaz, odepchnęła ją w sposób brutalny halabardami. Nazajutrz Karolina angielska już nie żyła. Takiej zniewagi przenieść jej serce nie mogło!

Oto losy poprzedniczek Natalii.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Dla ciebie pragnę być sławnym i bogatym — mówił, a Helena słuchając go doznawała zawrotu głowu, jak gdyby nagle znalazła się na wyniosłości.

Dla Klemensa nie było niepodobieństwa, dążył wyżej i coraz wyżej i świat cały chciał widzieć u stóp swoich. Lereboulley radził mu, aby stanął jako kandydatna najbliższych wyborach i Thauziat chętnie zgadzał się na to; był pewnym, że wkrótce zdolnościami wyróżni się z pomiędzy innych i zajmie wybitne w świecie politycznym stanowisko a do sławy eleganckiego światowca, dołączy jeszcze urok władzy. I któż wtedy zdołałby mu się opierać? Jednych zwyciężyłby uprzejmością, innych siłą; z czoła jego i głębokiego spojrzenia pięknych oczu widniała niepospolita energia i szlachetność. Wzajemność Heleny dopełniałaby miary jego szczęścia i zapewniła tak gorąco pożądany tryumf.

Uprzedzenie jakie Helena miała z początku do niego, znikło teraz zupełnie i Klemens przedstawiał jej się takim, jakim był w istocie, to jest miłym i godnym szacunku człowiekiem. Przekonała się, że dziwne niekiedy jego poglądy, wypływały z oryginalnych osobistych pojęć i wyższości charakteru. Nieco pogardliwy ton głosu i dumne obejście nie dowodziły zarozumiałości, lecz spokojnej pewności siebie. To też pokora jego względem Heleny tem większą miała wartość i młoda dziewczyna doznawała rozkosznego zadowolenia na myśl, że ten dumny, nieugięty człowiek składał jej hołd i uznawał ją za panią i władczynię nieograniczoną.

Lecz nagle przed oczami jej wyobraźni, mignęła blada twarz Ludwika i serce jej ścisnęło się boleśnie. W radosnem upojeniu zapomniała o słabym i niestałym młodzieńcu, jakby samo porównanie z Klemensem było ostateczną dla Ludwika porażką. I w istocie czyżby on mógł walczyć z podobnym przeciwnikiem? Czyż nie odgrywał zawsze w obec niego roli satelity obracającego się niepostrzeżenie w świetnem kole wspaniałej gwiazdy? Klemens był uosobieniem siły a Ludwik słabości, pierwszy jednoczył w sobie wszystkie zalety dowodzące tlejącej w nas iskierki nieśmiertelności, drugi przedstawiał typ człowieka ze wszystkiemi wadami i ułomnościami ziemskiemi. Charaktery ich różniły się najzupełniej i Emilia dobrze ich określiła: mężczyzna i dziecko. Helena zadrżała z trwogi na myśl, że musi między nimi wybierać.

Serdeczne słowa przyjaciółki dźwięczały jej ciągle w uszach: „Nie wahaj się i podaj dłoń Klemensowi." A jednak nie mogła się odważyć wyciągnąć doń ręki. Głęboka litość dla Ludwika zbudziła się w sercu dziewczęcia, widziała babkę dla której tyle czuła wdzięczności i zapytywała się z trwogą, czy ma ich porzucić oboje w tej właśnie chwili, gdy wyglądali od niej dowodów przywiązania i czułości.

Ludwik kochał ją niemniej od Klemensa, chociaż nie umiał może wyrazić swej miłości w sposób tak pochlebny, całą duszą jednak był do niej przywiązany. Wprawdzie nie mówił jej o miłości lecz w każdym jego ruchu i spojrzeniu czytała nieograniczoną czułość. Od chwili gdy zamieszkała w domu pani Hérault, postępowanie Ludwika zmieniło się jakby pod wpływem czarodziejskiej mocy; nie opuszczał prawie babki, której ona była nieodłączną towarzyszką. Zawsze przy niej, zawsze z oczami w nią zwróconemi, zdawał się żyć tylko dla niej. A czyż naprowadzenie na dobrą drogę tak lekkomyślnego młodzieńca nie było także wielką zasługą i niepospolitym tryumfem? On nie walczył ze swą miłością jak Thauziat, tylko odrazu pochylił się pod jarzmo, pokochał ją od pierwszego dnia, od pierwszej chwili poznania i żył jedynie tą miłością.

Przypominała go sobie, gdy w żałobie po ojcu, blady i smutny, zwolna przechodził przez pałacowy dziedziniec; miałażby teraz swoją odmową pogrążyć go znowu w otchłań smutku i zmusić do przywdziania żałoby po zamarłem w jego sercu uczuciu? A zresztą, musiała przyznać to w głębi duszy, że jedynie dla niego zamieszkała w pałacu Hérault. Gdy babka mówiła jej o wdzięczności względem rodziny de Graville, Helena nie słuchała jej nawet, myśl jej zajęta była młodzieńcem o tęsknym i łagodnym wyrazie twarzy, którego niestety tak rzadko widywała teraz z okna, a którego szczerze pragnęła zobaczyć znowu. Jeżeli przystała na życzenie pani Hérault, to bynajmniej nie ze względu na prośby staruszki, ale przez chęć zbliżenia się do wnuka. Jakąż rozkosz sprawiał jej głos Ludwika, jak żywo serce jej biło, gdy po raz pierwszy ujrzała go w salonie babki!... Żyła obok niego spokojna, szczęśliwa, bez gwałtownych wzruszeń, które jak burza wstrząsają duszą człowieka i może właśnie brak namiętnych i drażniących wrażeń nie dozwolił jej ocenić jak bardzo kochała Ludwika. Lecz teraz rozumiała doskonale własne serce i na samą myśl o tem, że Ludwik byłby znowu nieszczęśliwy i mógłby na nowo rozpocząć hulaszcze życie, ogarniała ją niewysłowiona trwoga a z oczu gorzkie łzy płynęły.

Jednakże rady i słowa Emilii żywo stały jej w pamięci.

— Jeśli chcesz być szczęśliwą, z ufnością podaj dłoń Klemensowi — mówiła panna Lereboulley.— Ludwik jest słaby a jeśli jeszcze ulegnie złemu wpływowi, może stać się najgorszym dla drugich i dla siebie...

Lecz jakiś tajemny głos szeptał Helenie w głębi duszy: „Ludwik nie ulegnie złym wpływom skoro ty zostaniesz dozgonną jego towarzyszką; ty prawą drogą poprowadzisz go do szczęścia, jeżeli chcesz spełni się dlań wszystko dobre. A czy człowiek nie może wszystkiego czego chce? Trzeba tylko silnej woli, aby dojść do raz zamierzonego celu!

Silna wola! słowa te były godłem jej życia i stanowiły o całej przyszłości, rozbrzmiewały one w jej duszy zawsze, gdy miała postanowić coś ważnego. Nieraz chciała się dłużej nad czemś zastanowić lecz rozkaz silnej woli zwyciężał wszystkie dowodzenia rozumu.

Dniało już, gdy po długiej wewnętrznej walce Helena zasnęła znużona. Nazajutrz wstała bardzo późno i było już po dziesiątej, gdy weszła do sypialni pani Hérault, która zupełnie ubrana przechadzała się po pokoju.

— Byłaś dziś leniuszkiem, moja droga — rzekła ta ostatnia, ujrzawszy Helenę, ale dobrze zrobiłaś, powinnaś odpocząć bo i tak mizernie wyglądasz. Ale, ale, nie wiem doprawdy co się dziś stało Ludwikowi, jak poszedł rano do lasu tak jeszcze nie wrócił do tej pory.

Helena nic nie odrzekła, wiedziała bowiem co było powodem niepokoju młodego człowieka. Wkrótce pani Hérault zajęła się czem innem a poszedłszy z Heleną do cieplarni, spędziła tam parę godzin, wykładając pannie de Graville własności roślin i sposób ich hodowania. Lecz Helena słuchała jej nie rozumiejąc i również milczącą była przy śniadaniu, które zjadły same po raz pierwszy od chwili pobytu w Boississ. Pani Hérault niespokojna, zaczęła wypytywać służbę czy gdzie nie widziała młodego pana, lecz nikt nie mógł udzielić żadnego objaśnienia. Wreszcie babcia zwróciła pytające spojrzenie na Helenę, która rozumiejąc niepokój staruszki, odrzekła spokojnie.

— Pan Ludwik widocznie zaszedł dalej niż miał początkowo zamiar i spóźniwszy się zjadł śniadanie w bażantarni lub na folwarku.

— Być może — odpowiedziała pani Hérault, nie zbyt przekonana dowodzeniem Heleny.—Już od dwóch dni jest jakiś nie swój i pomieszany i lękam się, aby nie popełnił jakiej niedorzeczności.

— Uspokoj się, droga pani, panu Ludwikowi z pewnością nie stało się nic złego a przyczyna jego nieobecności okaże się bardzo prostą i pospolitą.

Około czwartej po południu, gdy obie kobiety pracowały w małym saloniku, powóz jakiś wjechał na dziedziniec i zatrzymał się przed gankiem. Helena wyjrzała oknem i poznała Emilią, która sama powoziła, obok niej zaś siedział Thauziat. Młoda dziewczyna cisnęła lejce lokajowi, siedzącemu na tylnem siedzeniu i opierając się na ręku Klemensa, lekko zeskoczyła na ziemię.

Helena wyszła na ich spotkanie i przyjaciółki spotkały się na schodach wiodących do ganku.

Emilia serdecznie uścisnęła pannę de Graville, Thauziat zaś nie podał jej nawet ręki, witając ją tylko pełnym szacunku ukłonem.

— Powiedziałaś mu: jutro — szepnęła Emilia do ucha przyjaciółki, wzrokiem wskazując jej Klemensa — lecz on nie mógł doczekać się wieczoru... Przywożę ci go więc wzruszonego i onieśmielonego jak dziecię. Jestem pewna, że Thauziat po raz pierwszy doznaje podobnych wrażeń... Powiedz mi czy nie jesteś dumną, że wznieciłaś podobną miłość?

Helena smutnie potrząsnęła głową lecz nic nie odpowiedziała i wszyscy troje zwolna weszli do salonu. Emilia pod jakimś zręcznie obmyślonym pozorem, wywołała po chwili panią Hérault z salonu i panna de Graville znalazła się sam na sam z Klemensem. Czas jakiś milczeli oboje, pomieszani i strwożeni widocznie, wreszcie Thauziat pierwszy odzyskał spokój i rzekł z uśmiechem:

— Jestem niecierpliwym dłużnikiem, nieprawdaż panno Heleno? Lecz nie gniewaj się pani na mnie za ten pośpiech, wina cała musi w tym razie spaść na ciebie. Przyznaję, że mógłbym był siłą woli zmusić się do cierpliwości i nie przyjeżdżać

tak wcześnie a tem samem zostawić ci dłuższy czas do namysłu, ale pragnę postępować względem ciebie z zupełną szczerością, choćbym nawet z tego powodu miał ci się przedstawić jako człowiek słaby, to jest ukazać się w twoich oczach takim jakim jestem...

A widząc, że panna de Graville już otwiera usta, aby mu odpowiedzieć, przerwał jej z błagającym wyrazem twarzy:

— O! nie mów pani jeszcze, proszę cię o to... Jadąc tu, pilno mi było usłyszeć wyrok z ust twoich, lecz teraz skoro jestem już obok ciebie, lękam się dowiedzieć o twem postanowieniu. Zdaje mi się, że nie zbyt wymownie broniłem mej sprawy i pragnę dziś jeszcze powtórzyć ci jak cię kocham, abyś oceniła całą doniosłość krzywdy, którąbyś mi wyrządziła, odpychając moją bezgraniczną miłość i nie chcąc uczuciem za uczucie odpłacić.

— Wiem wszystko co powinnam wiedzieć — odpowiedziała Helena — i nie potrzebujesz pan dodawać ani słowa. Nie jestem ani nierozsądną, ani lekkomyślną i umiem ocenić podług ich rzeczywistej wartości, uczucia takiego jak pan człowieka. Gdybym się nawet nie poznała na zaletach pana, przyjaciele twoi objaśniliby mnie pod tym względem, ale ja nie potrzebowałam uciekać się do cudzego sądu, gdyż wiem sama, jak pana cenić należy. Nie myśl pan, że słowa moje są tylko czczym frazesem, nie, byłeś szczerym ze mną i ja równąż chcę ci odpłacić szczerością. Najpierw więc muszę ci powiedzieć, że uczułam się dumną, iż z pomiędzy tylu kobiet mnie właśnie wybrałeś... I gdyby duma mogła oddziałać na moje postanowienie, może w tej chwili wyciągnęłabym do ciebie dłoń moją...

— Heleno! — zawołał Klemens, którego lica śmiertelną okryły się bladością — Heleno! do jakiej odpowiedzi chcesz mnie przygotować?

— Odpowiedź moja będzie najlepszym dowodem jak wysoko cenię pański charakter i jak ufam wjego wspaniałomyślność, jeśli sama oznajmię panu to, co mogłabym uczynić przez czyjeś pośrednictwo. Pan błagałeś mnie przed chwilą a teraz ja wielką mam do ciebie prośbę. Ale pierwej musisz mi dać słowo, że wypełnisz wszystko o co cię prosić będę...

— Wszystko! — zawołał Klemens z mocą. — Wszystko, wyjąwszy tego, żebym cię przestał kochać.

Panna de Graville podniosła na niego piękne błagające oczy i wyciągając doń ręce, których Klemens nie śmiał ująć w swoje dłonie, rzekła z niewymowną słodyczą:

— Będziesz mnie kochać jak szczerą, serdeczną przyjaciółkę... Miłość, jaką obecnie czujesz dla mnie i która zgasłaby może prędko jak płomień co gwałtownie strzeliwszy w górę, zostawia wkrótce po sobie tylko garść popiołu, miłość ta zamieni się w trwałe uczucie przyjaźni. O! chciałabym żebyś zrozumiał jak będę szczęśliwą, jeśli przychylisz się do mej prośby. Do śmierci wdzięczną ci będę za twój czyn szlachetny... jesteś jedynym na świecie człowiekiem, od którego ośmielam się wymagać takiego poświęcenia, bo wiem, że tylko ty jeden zdolny jesteś zwyciężyć samego siebie... Zaklinam pana, wyjdźmy już raz z tego fałszywego położenia, które tyle cierpień sprawia nam obojgu; pan doznasz zadowolenia myśląc o swym wspaniałomyślnym postępku, moje zaś serce napełni się tkliwem przywiązaniem, którego dowody składać panu będę do końca mego życia.

Klemens siedział milczący, z głową pochyloną na piersi.

— Nie odpowiadasz mi pan? — spytała Helena z niewysłowioną trwogą. — O czem pan myślisz?— dodała łagodnie nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

— Myślę o czarownych moich marzeniach, które w jednej chwili pierzchnęły jak mgła w obec promieni słońca — odparł smutnie Klemens. — Czy podobna, abym ci był zupełnie obojętny? Czy namiętna moja miłość nie wzruszy cię wcale? Żadnej-że już żadnej nie zostawisz mi nadziei?... Doprawdy, Heleno, zdaje mi się, że sama mówisz bez przekonania, że inaczej myślisz a inne wypowiadasz zdanie; chyba że kochasz innego?

Teraz Helena nie odpowiedziała mu na pytanie. Thauziat stał przed nią, namiętnym wzrokiem wpatrując się w twarz ukochanej. Blady, z zaciśniętemi usty i groźnie zmarszczonem czołem przedstawił się Helenie takim jakim go widziała po raz pierwszy, to jest uosobieniem złego, które kusiło Ludwika na bezdroża. W tej chwili Thauziat wydał jej się groźnym i strasznym, pierwsze doznane wrażenie zbudziło się w jej sercu i z trwogą przypomniała sobie sąd jaki o nim wydała z początku: „To człowiek zdolny uczynić wiele dobrego, albo wiele złego.”

Zdawało się, Helenie, że skłonność do złego przeważa w tej chwili w usposobieniu Klemensa, łagodność i dobroć znikły z jego twarzy, jak owe lekkie chmurki, wieńczące szczyty gór, a które wicher i burza rozpędza.

— Przyrzekłam pani Hérault, że ją nie opuszczę — odezwała się wreszcie Helena, po długiej chwili milczenia — i wiesz pan, że w ten sposób mogę jedynie spłacić dług wdzięczności, jaki względem niej zaciągnęłam... Ona była dla mnie tak dobrą, że nazwę się najszczęśliwszą, jeśli umilę jej ostatnie dni życia...

— Bądź pani szczerą zupełnie — przerwał jej Thauziat — i miej odwagę powiedzieć całą prawdę: zostajesz w tym domu nie dla pani Hérault lecz dla Ludwika!... Kochasz go!... Jego przeniosłaś nademnie... Chcesz zaprzeczać, nie śmiesz więc wyznać przede mną, że go kochasz?

Namiętnym tonem wypowiedziane słowa oburzyły pannę de Graville, zmierzyła więc dumnym wzrokiem Klemensa i rzekła chłodno:

— Chcesz pan, żebym ci to powiedziała? A więc uczynię zadość twemu żądaniu: w istocie kocham Ludwika!

— Na Boga! czemże on potrafił zasłużyć na twą miłość? — zawołał Klemens z goryczą.

— Słaby jest i potrzebuje wsparcia i obrony.

— Powiedz raczej, że jest podły i występny.

— A więc ja będę jego męztwem i cnotą.

— Skoro Ludwik przekona się o wyższości twego umysłu i serca, znienawidzi cię z pewnością.

— Gdy uczciwie spełnię to co mi nakaże obowiązek, potrafię znieść największe przykrości i cierpieć bez skargi.

— Czy sądzisz pani, że pozwolę na takie z twej strony poświęcenie?

— A jakiem prawem mógłbyś mi pan tego zabronić? — z gniewem odpowiedziała Helena. — Uważam, że pan zanadto sobie pozwalasz! Dotychczas nie broniłam panu mówić otwarcie, ale jeśli pan nadużyjesz tego prawa, aby mi grozić, nie chcę słyszeć już ani słowa więcej.

— Przebacz mi! — zawołał Klemens, składając ręce. — Cierpię tak strasznie, że zapominam się i obrażam cię, lecz Bóg tylko wie, jakie poszanowanie i uwielbienie czuję dla ciebie w mem sercu. Chciałbym cię ochronić od niebezpieczeństwa, na które nieoględnie się narażasz, a ty odpychasz moje rady i nie chcesz mnie zrozumieć. Gdybym ci odmalował Ludwika takim jakim ja go znam, ze wszystkiemi jego wadami, posądziłabyś mnie o podstęp i nieszlachetność. Jednakże nie mogę pozwolić na to, abyś lekkomyślnie narażała życie. Nie znasz świata, Heleno, a pełno w nim zasadzek i pokus, na każdym kroku napotkasz zdradę lub kłamstwo. Jeśli nie potrafisz się bronić, ludzie zakrwawią i zdepczą twoje serca... A Ludwik... Ludwik niestety nie obroni cię wcale... I takiemu to człowiekowi, który sam potrzebuje opieki, chcesz powierzyć życie i szczęście swoje?

Helena uśmiechnęła się swobodnie i zlekka dotykając ramienia Klemensa rzekła:

— Jeśli Ludwik potrzebuje tak troskliwej opieki znajdzie ją we mnie, a w razie potrzeby w panu...

Klemens cofnął się krokiem w tył i zawołał gwałtownie:

— Nigdy! Nienawidzę go z całej duszy, na samą myśl, że będziesz do niego należyć!...

— Otóż właśnie ja tego nie chcę — rzekła stanowczo panna de Graville. — Musi mi pan dać słowo honoru, że w dniu w którym zaślubię Ludwika, zapomnisz o wszystkiem co mi powiedziałeś i że Ludwik i ja będziemy mieli w panu przyjaciela.

Thauziat przecząco wstrząsnął głową. Helena z niezrównanym wdziękiem pochyliła się ku niemu i zmuszając go aby spojrzał na nią, dodała:

— Przysięgnij mi, że uczynisz to o co cię proszę a kochać cię będę bardzo, bardzo!

Klemens powtórnie zaprzeczył ruchem głowy.

— Oddałbym wszystko na świecie, aby się tobie podobać — rzekł z wysiłkiem — ale jestem tylko człowiekiem i nie możesz wymagać ode mnie cnót bozkich. Czuję, że nie byłbym zdolny przebaczyć Ludwikowi krzywdy, jaką bezwiednie mi wyrządził; wiem że on jest niewinny i pojmuję, że potępiam go niesprawiedliwie, cierpię jednak niemniej i zazdroszczę mu szczęścia! Co do ciebie, Heleno, możesz być pewną, że pozostanę ci wiernym do ostatniej chwili mego życia, miłość moja żadnej nie ulegnie zmianie, czas nie złagodzi zadanego ciosu, kochać cię będę do ostatniego tchnienia, pocieszając się nadzieją, że kiedyś, kiedyś, skoro przekonasz się o nicości tego, którego ukochałaś, zwrócisz się jeszcze do mnie. Błagam cię o miłość, odmawiasz mi jej bezlitośnie, lecz jeśli kiedykolwiek w sercu twojem roznieci się iskierka uczucia dla mnie, pamiętaj, Heleno, że objaw ten gotów jestem powitać na klęczkach. Człowiek z takiem jak ja usposobieniem nie zapomina nigdy, kocham cię dziś, kochać cię będę jutro i cokolwiek by się stało, kochać cię nigdy nie przestanę.

— A ja — rzekła poważnie Helena — jestem kobietą, która dwa razy serca nie oddaje i dwa razy kochać nie potrafi. Uczucia moje również nigdy nie ulegną zmianie i jaką mnie pan widzisz dziś, taką będę i za lat dziesięć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

O klęskach jakie dotknęły rolników w gub. Kaliskiej, podaje „Kaliszanin" następujące szczegóły: W dniu 3 z. m. w gminach Mazewie i Leśmierzu w pow. Łęczyckim spadł silny grad, który poczynił strat w polach blizko na 10,000 rs. Dnia 13 z. m. szalała straszna burza w dobrach Rogaszyn, gminie Balków, w powiecie Łęczyckim; prawie wszystkie domy mieszkalne i zabudowania zostały uszkodzone, z niektórych zabudowań pozrywane dachy, pszenicę skoszoną na przestrzeni 30 mórg, burza zupełnie zniszczyła. Sterta pszenicy i sześć stogów siana rozrzucone i do połowy zupełnie zniesione; wszystkie drzewa w ogrodzie zniszczone. We wsi Goślub, w powiecie Łęczyckim wszystkie domy i zabudowania uszkodzone, drzewa w lesie na przestrzeni 100 morgów połamane i powyrywane z korzeniami. We wsi Janków, stodoły należące do 6 włościan zupełnie zostały zniesione i materyał drzewny połamany. W innych miejscowościach pow. Łęczyckiego zrządzone zostały również znaczne szkody, których na razie ocenić niepodobna. Tegoż dnia, to jest 13 z. m. w zachodniej stronie gminy Lubotyń, w pow. Kolskim, około godziny 5 po południu powstała burza z nadzwyczaj silnym wiatrem, która poczyniła znaczne straty, a mianowicie: we wsi Bagno zniosła do szczętu wiatrak i z domu młynarza i zabudowań gospodarskich pozrywała dachy; we wsi Zakrzewie zniosła 5 zabudowań gospodarskich; we wsi Bugaj 3 stodoły, na folwarku Radoszyce 2 stodoły i oborę, a w lasach lubotyńskich powaliła masę drzewa. Tegoż samego dnia w okolicach osady Sompolna i w samej osadzie, szalejąca burza zniszczyła zasiewy i połamała bardzo wiele drzew, na wielu zabudowaniach pozrywała dachy i powybijała szyby. Szkody w samem Sompolnie wynoszą do 3,000 rs. Dnia 12 z. m., w gminie Rudniki, w powiecie Wieluńskim, spadły grad poczynił strat w zasiewach dworskich i włościańskich na 3,000 rs.

Berlińska „Börsen-Zeitung" wylicza liczne szkody, zrządzone przez burze gradowe i nieustanne deszcze w zbiorach całych Niemiec, Rossyi, Austryi, Francyi i Anglii. Francya na konsumcyę wewnętrzną będzie potrzebowała sprowadzić pszenicy najmniej 25,000,000 hektolitrów; w Anglii skarżą się, że od wielu lat żniwa nie były tak liche jak w tym roku. Tylko sprawozdania z Ameryki brzmią nieco pomyślniej, jednakże w obec doniesień z Europy, ceny zboża w ostatnich dniach znacznie tam podskoczyły.

Pomnik J. I. Kraszewskiego. Autor „Witoloraudy" i „Starej Baśni" urodził się w Warszawie, w parafii Św. Krzyża i w kościele tej parafii był ochrzczony. Przeczuwając zgon na obczyźnie; wynurzał w listach do Wł. Maleszewskiego i Adama Pługa pragnienie, aby przynajmniej serce jego spoczęło wśród swoich, w kościele Św. Krzyża w Warszawie. Wolę tę miał wypowiedzieć nawet w testamencie; ale nim się odbyły formalności otwarcia testamentu, zwłoki znakomitego pisarza były już nabalsamowane i na głucho zalutowane w trumnie. Tym sposobem serce J. I. Kraszewskiego spoczęło gdzieindziej niż pragnął, bo w krypcie na Skałce w Krakowie. Chcąc w granicach możności urzeczywistnić życzenie nieboszczyka, powzięto w Warszawie myśl uczczenia go w kościele Świętokrzyzkim pomnikiem z wyobrażeniem jego rysów. Kierunek wzięli na siebie pp. Faleński, Gerson, Jenike i A. Plug; wykonania pomnika podjął się rzeźbiarz tutejszy p. Kryński. Nie rozwodząc się tutaj nad niedoszłemi zamiarami, zaznaczamy, iż w ciągu roku od zgonu Kraszewskiego, to jest po dzień 19 Marca r. b., wpłynęło składek 758 rs. i stosując skalę dzieła do tej kwoty, pan Kryński wykonał projekt nagrobku ściennego, mającego kosztować 1,000 rs. Pomnik z czarnego marmuru, z popiersiem, figurami i ozdobami z bronzu, mieć będzie wysokości 6 a szerokości 3 łokcie, umieszczony zaś będzie przy filarze w bocznej lewej nawie kościoła Św. Krzyża. Rysunek tego pomnika zamieściły „Kłosy" w numerze z dnia 2 z. m. Dla przemienienia go z wiotkiej karty w bronz i kamień, potrzeba jeszcze przeszło 200 rs.

Wilno. Wśród mieszkańców grodu Gedymina, filantropijne objawy od niejakiegoś czasu, coraz bardziej powtarzać się zaczynają. I tak, za inicyatywą prezydenta pana Hryncewicza, powstał świeżo projekt założenia w Wilnie kasy oszczędności dla rzemieślników, na wzór istniejących w innych miastach. Kasa ta udzielać ma również i pożyczki potrzebującym, a to w celu wyrwania ludności rzemieślniczej, ze szpon lichwy żydowskiej. Odnośne towarzystwo wypracowało już ustawę tej nowej instytucyi i za pośrednictwem miejscowego naczelnika gubernii, posłało ją do ministeryum finansów, dla zatwierdzenia. Dalej widzimy, iż przytułek dla biednych wraz z tanią kuchnią, coraz bardziej rozszerza swą działalność, zyskując z każdym dniem zasłużone uznanie ogółu i stając się prawdziwem dobrodziejstwem dla biedaków. Przyznać też należy, iż zarząd rzeczonych instytucyi szczerze i sumiennie pracuje około dobra publicznego. Jednym z tego dowodów jest i to także, iż pomimo rozszerzonej działalności, deficytu w kasie nie ma.

Nie ma nikt prawa narzucać komuś swego zdania, lecz tam, gdzie idzie o dobro własnowolnie lekceważone, obowiązkiem jest zwrócić w danym razie uwagę.

Po wielokroć notowaliśmy, jak nierozsądnie postępują niektórzy rodzice, przekształcając drobne swe dzieci za pośrednictwem ubioru, na istnych klownów.

Owe kuse, spięte, podkasane, dziwaczne stroje, w jakie ubierają dzieci, stanowczo przekraczają kardynalne zasady pedagogiki i hygieny.

W ogrodzie Botanicznym mieliśmy sposobność widzieć parkę dziewcząt, lat 5 do 6 każda, formalnie bez pończoszek i... majteczek, a o nader krótkich sukienkach.

Wyglądało to nader rażąco i zwracało uwagę nawet najobojętniejszych.

Czy podobne produkowanie kształtów ciała, może inaczej wpłynąć na rozwój strony moralnej w dziecku, jak tylko ujemnie?

Polki w Paryżu. Na egzaminach rządowych na patenta, oraz w deklamacyach i muzyce przy rozdaniu nagród, jak zawsze i w roku bieżącym odznaczył się pensyonat panien z hotelu „Lambert". Z ośmiu uczenic, które stanęły do egzaminu o pierwszy patent, sześć a mianowicie panny: Błociszewska, Gasztowtówna, Jezierza, Bielińska, Malecka i Pożerska, otrzymały patenta pierwszego stopnia (brevet de seize ans). Patent drugiego stopnia (brevet superieur) otrzymała panna Natalia Wiszniewska, której siostra Marya Wiszniewska, również z hotelu Lambert, otrzymała w roku zeszłym taki sam stopień. Przy konkursie w Sorbonie panna Natalia Wiszniewska otrzymała prócz tego pierwszy medal za sztuki piękne i pierwszy list pochwalny za chemię, zaś panna Wrześniewska pierwszy list pochwalny za sztuki piękne i drugi takiż list pochwalny za geometryę, algebrę i arytmetykę. Rozdanie nagród uczenicom hotelu Lambert, odbyło się uroczyście w dniu 25 Lipca pod prezydencyą protektorki zakładu, hrabiny z Czartoryskich Działyńskiej. Przy uroczystości tej największe wzbudził zajęcie koncert na fortepianie, przy udziale znakomitych artystów, profesorów na skrzypcach i wiolonczeli. W koncercie tym odznaczyły się niezwykłym talentem panny: Pożerska, Bielińska, Błociszewska, Wileńska, Komorowska i Jezierza: w trio ze skrzypcami i wiolonczelą panny: Pożerska, Błociszewska i Sokołowska.

Oryginalne przedstawienia odbywają się w Nowym-Yorku pod nazwą „Open air spectactle" (widowisko na wolnem powietrzu). Widowiska te urządza p. Imre Kiralfy, a przedstawiają one „Nerona" czyli „Upadek Rzymu". Teatr urządzony pod gołem niebem nie ma równego sobie na całej kuli ziemskiej. Dziesięć akrów gruntu pokrytych jest z czarodziejską szybkością wznoszonemi wspaniałemi pałacami, wieżami i murami; co wieczór pewna ilość tych ogniotrwałych gmachów staje się niby pastwą płomieni. O rozmiarach przedsięwzięcia daje przybliżone wyobrażenie liczba uczestników, która wynosi 2,000 osób. Scena jest największą na świecie; chór złożony jest z 500 osób, a 1,000 cór Tepsychory składa się na balet. Dla pokrycia kosztów jednego wieczoru potrzebna jest publiczność złożona z 15,000 osób.

W Ferrarze na scenie teatru Tosi Borghi wystawiono „Halkę" Moniuszki.

Dziennik „Rivista teatrale melodramatica" w sprawozdaniu oddaje wielkie pochwały dziełu naszego mistrza.

Tytułową partyę z powodzeniem śpiewała panna Matuszyńska, na której benefis opera była graną.

Projekt odbudowania państwa żydowskiego. Do Anglii przybył w tych dniach z Chicago rabin, doktor Merton Sivertha i przywiózł ze sobą projekt odbudowania Palestyny, który znalazł w Albionie wielu zwolenników. Doktor Sivertha, pisze „Frankfurter Ztg.", nie jest ani fantastą, ani marzycielem, ale człowiekiem spokojnym, praktycznym i patrzącym w przyszłość. Nie sądzi on wcale, by założenie nowego państwa żydowskiego w Palestynie doszło do skutku na cudownej jakiejś podstawie, owszem przypuszcza, że żydzi z całego świata utworzyliby tymczasowo tylko szóstą część ludności nowego państwa. Nad sprawą tą czynił on głębokie studya i przywiózł ze sobą gotowe plany wykupu ziemi, osiedlenia ludności i odbudowy miasta, a pomiędzy innemi projekt odbudowania starej Jerozolimy. Rabin Sivertha ma nadzieję, że już w jesieni uda mu się dokonać znacznej części swego dzieła. Sądzi bowiem, że skoro tylko znajdzie dostateczną liczbę kolonistów żydowskich, mocarstwa zgodzą się na przyznanie państwu żydowskiemu neutralności i niepodległości, jakto swojego czasu stało się z Szwajcaryą i Belgią. Doktor Sivertha sądzi dalej, że gdyby terytoryum Palestyny żydowskiej co do wielkości równać się mogło z Wielką Brytanią, to przy należytej gospodarce mogłoby bogactwem swem przewyższyć Włochy południowe. Czy doktor Sivertha pragnie Palestynę od

Turcyi zdobyć przemocą, czy też kupić targiem... krakowskim, pismo z którego wiadomość tę czerpiemy, nie podaje.

— W Paryżu pierwsze wyścigi osłów, świeżo w modę wprowadzone, nie udały się.

— A to dlaczego?

— Bo brakło ich do dopełnienia liczby dwunastu regulaminem oznaczonej.

— Oh! u nas — ktoś odezwał się — wypadek ten nie zaszedłby, choćby liczbę wyścigowców znacznie powiększono.

* * *

Dziwne pretensye. — Kiedyś się o mnie starał, mówiłeś, że całe życie prześnisz u nóg moich, pojąc się urokiem miłości i ciepłem domowego ogniska, a tymczasem wracasz teraz codziennie z preferansa dopiero nad ranem.

— Kiedym się o ciebie starał, mówiłaś, żeścieżkę życia przejdziesz wsparta na mojem ramieniu, a tymczasem w sam dzień wesela tańczyłaś do upadłego walca, wsparta na ramieniu pana Alfonsa.

* * *

Z teki pesymisty.

Przyjaźń to uczucie dla osoby, którą się kochało niegdyś, a której się już nie kocha.

Igła — środek zarobku biednych i uczciwych dziewcząt. Termometr niezawodny: skoro tylko to małe narzędzie przestaje być w ruchu, cnota ich wisi już na cienkiej nitce.

Przyjaciel — jest to człowiek, który podziela twoje złe i dobre losy, przeważnie jednak dobre.

Anioł — żona sąsiada.

Skąpiec — szaleniec, który morzy się głodem, aby mieć z czego żyć... kiedyś.

Niewidomy—kaleka, którego się nie powinno tak dalece żałować, ze względu na szkaradzieństwa jakich nie widzi.

* * *

Aforyzm. Jeśli, jak twierdzi francuzkie przysłowie, małe podarki utrzymują przyjaźń, to wielkie bezwątpienia podsycają miłość... chociażby małżeńską.

* * *

Dowcipne określenie. — Czy wiesz, Antoś się żeni.

— Z kimże?

— Nie wiem, to tylko słyszałem o jego narzeczonej, że nie jest... biedną.

RÓŻNE MYŚLI.

Pomiędzy ustami a czaszą jest jeszcze miejsce na przypadek.

Boiste.

☛ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 18 Августа 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.